

# Metro i czas baloników

■ Alek Rachwald ■

W ostatnich dniach jakoś się zaszuchałem w radio w samochodzie. Proszę mnie nie winić, była taka audycja, w której można wygrać sto tysięcy albo samochód. Wysłałem SMS, więc pilnowałem tej swojej inwestycji i trzymałem się jednej stacji ciurkiem, czy grali czy nie.

No i czasem nie grali, tylko mówili. I w pewnym momencie powiedzieli, że jakiś ekspert uznał, że Kraków, proszę Państwa, to jest takie miasto, które nie może mieć metra, bo to za drogo. Przyznam, że się trochę zdenerwowałem, bo też całkiem niedawno powiedzieli, że akurat trzy najbardziej zakorkowane i zatłoczone miasta w Polsce to Wrocław, Kraków i Warszawa, przy czym Warszawa wcale nie była na czele.

Metro to jest taki rodzaj zdobyci cywilizacyjnej, którą prawie wszystkie państwa wyżej rozwinięte mają. Jest para, jest elektronika, są balony, potem samoloty, to jest i metro. Żaden cymes, prawdę mówiąc, bo wymyślono je nieco po balonach, ale zdecydowanie przed elektroniką. A elektronikę mieliśmy już dawno, czego dowodem mój kalkulator Brda 14S, znaleziony w tym samym miejscu, w którym Albercik z Maksiem znaleźli gumofilec.

O co więc chodzi, skoro na przykład Budapeszt miał metro w XIX wieku? Widzę tutaj jakiś problem niezwiązany z finansami, tylko z kategoryzacją priorytetów (por. słownik urzędowej polszczyzny, o ile takowy istnieje).

Miasto Kraków w kwestii priorytetów w ogóle ma dziwne jazdy. Bardzo niedawno okazało się, że wprawdzie Krakowa na metro zupełnie nie stać (jak tego dowiódł ekspert), natomiast stać na urządzenie olimpiady (z nie-dużą pomocą przyjaciół z Zakopanego). Otóż ostatnia olimpiada zimowa kosztowała około 50 mld dolarów. Rozumiem, że Kraków ma mniejsze ambicje finansowe niż Soczi, więc pewnie koszty byłyby dwa razy mniejsze, a może nawet pięć razy, kto wie. W koń-

cu słyniemy z dobrej organizacji, zaś sam Kraków z – oszczędności. Ale dziesięć miliardów dolarów to wciąż sporo pieniędzy (jak to się mówi: miliard tu, miliard tam i wkrótce zaczniemy mówić o prawdziwych pieniądzach). Właśnie zbudowana linia metra warszawskiego kosztowała gdzieś w okolicach jednego miliarda. Mimo to Krakowa według eksperta na metro nie stać absolutnie, a na olimpiadę – stać jak najbardziej. Czy tylko ja uznaję to za dziwne? Nie? Dziękuję.

Odnoszę czasem wrażenie, że państwo nasze kochane (oraz nie mniej kochane samorządostwo) zajmuje się głównie pierdołami. Olimpiada w Krakowie to pierdoła do kwadratu. Mistrzostwa Europy w piłce nożnej też były głupstwem podobnego sortu: wydano gigantyczne środki na zbudowanie infrastruktury do rozgrywek w sporcie, w którym jesteśmy ciency jak tylna dziurka węża i który w Polsce, poza hojnie opłacanymi zawodowcami, mało kto uprawia. Ostatnio ludzi kopiących piłkę za darmo, tak sobie zwyczajnie, gdzieś między domami, widziałem w latach 80., kiedy zły Jaruzel nie pozwalał nam oglądać komedii romantycznych z Kożuchowską, a Reagan obkładał nas embargiem na domowe komputery. W związku z tym nie było nic do roboty w chałupie i, chcąc nie chcąc, trzeba było wyjść na świeże powietrze. Teraz nikt się tym nie zajmuje, bo brzuszyska nie chce się ruszyć nawet dziesięć latkom.

Te wszystkie imprezy mają jedną cechę wspólną – dają się świetnie oglądać w telewizji. W związku z tym są ludyczne nie tylko w dawnym rozumieniu tego słowa, ale do kwadratu. Zabawiamy się oglądaniem czyjejs zabawy. Przyjaciele znajomych gwiazd tańczą na lodzie w strojach własnego pomysłu. Przy okazji tych zabaw lecą reklamy, których wszyscy mają już po kokardę, ale i tak oglądają. A obok reklam środków na wypróżnianie czy nadawanie polsku

proteżom skromnie przemykają politycy. Politycy, czyli fundatorzy (naszym kosztem) całego tego rozpasania, za drobną frakcją którego dałoby się zbudować w Krakowie i we Wrocławiu metro, zafundować Uniwersytetowi Jagiellońskiemu reaktor atomowy, Warszawskiemu – terenową stację badania gender w warunkach naturalnych, a nawet postawić fabrykę firmie WILE, robiącej świetne wzmacniacze, które jednak mało kto zna, bo są robione ręcznie sztuka po sztuce.

Otóż mnie cały ten interes wychodzi uszami. Niedawno zaczął się rok nieustannej orgii, czyli dwóch kampanii wyborczych. Już odbywa się wyrzucanie pieniędzy oknem dla samej przyjemności patrzenia, jak lecą. Jest to rozrywka, którą ukrywa się pod kryptonimem politycznego marketingu, nowego looku, docierania do targetu i innych bzdur. Przy okazji połowa pieniędzy ginie, oczywiście nie na chama, lecz pod postacią zawyżonych wydatków na reklamę. Reklama rzecz niewymierna, a wysiłek tęgich mózgów, wykształconych w Wyższych Szkołach Mydła i Powidła – bezcenny. Jakże im nie zapłacić? A jeśli jeszcze w dodatku kandydat wygra, to rozliczenie wydanych środków na bazie rozsądku będzie marnieniem ściętej głowy.

Jestem w tej chwili na granicy życiowej decyzji. Otóż chyba zgłoszę na tego kandydata, który ani razu w widoczny sposób nie rzuci dookoła gotówką. Takiego, który w czasie kampanii będzie się zachowywał jak normalny człowiek, a nie jak oszalały car. Ta clownada w końcu idzie z podatkiem. A najchętniej zgłoszowałbym na takiego, który wycofa połowę milionów przeznaczonych na kampanię i założy z tych środków fundusz wspierania polskich przedsiębiorstw elektronicznych. Może to ogłosić oficjalnie. Zdobędzie w ten sposób renomę zasłużoną, a nie kupioną za baloniki i smętne bredzenie. Czego sobie i Państwu życzę.